Światło

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 15-go Kwietnia 1897. Nr. 15.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 **markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Chleb ze zboża niemielonego.

Panujący obecnie wyłącznie prawie sposób przygotowywania chleba, ucieka się do mąki, jako do materyału podstawowego. Wyrób mąki wymaga jednak zupełnie suchego ziarna, wilgotnego bowiem zboża nie można mleć. W naszym klimacie nie zawsze daje się zboże sprzątać zupełnie sucho. Inne warunki istnieją pod tym względem na wschodzie, zkąd przybył do nas zwykły sposób wyrobu chleba. Tam podczas lata nie spada zwykle kropla deszczu i mielenie zboża pomiędzy dwoma kamieniami, poruszanymi w pierwotny sposób ręką, nie nasuwa najmniejszych trudności. Od tego pierwotnego sposobu oddaliliśmy się, co prawda bardzo znacznie i nowoczesne młyny walcowe nie przypominają już w niczem tej prostej metody mielenia. Znikły z nich nawet kamienie młyńskie. Przy dzisiejszym sposobie mielenia bywa starannie oddzielana delikatna mąka z wnętrza ziarna od łupiny i od ospy a im bielszą jest, tem wyższą osięga cenę. Jeśli przy wyrobie ciast rozmaitego rodzaju i towarów cukierniczych, obyć się nie możemy bez tej białej mąki, to jednak błędnem jest jej używanie na chleb codzienny, ponieważ z ospą oddzielamy od mąki najcenniejsze części pożywne i zużywamy je wyłącznie na paszę dla bydła. Stara ta i w ogóle cała metoda przygotowania chleba ma obecnie ustąpić miejsca nowemu, prostszemu, a tem samem tańszemu i zapewniającemu podobno korzystniejsze wyniki sposobowi.

Patentowany we wszystkich krajach cywilizowanego świata wynalazek Gelincka z Rygi, opiera się na następujących warunkach. Zwykłe zboże tak suche, jak wilgotne, podlega w beczce drewnianej, wybitej cynkiem, a zaopatrzonej w dno w kształcie przetaku z drobnymi otworami, myciu za pomocą dopływającej i odpływającej wody i za pomocą przyrządu do mieszania, dopóki woda nie odpływa zupełnie czysta. W ten sposób usuwa się wszelkie zanieczyszczenie zboża. Oczyszczone zboże zlewane bywa przez kilka godzin gorącą wodą o temperaturze 52 stopni Celzyusza, aż zgnieść się daje bez trudności pomiędzy palcami. Teraz zboże wchłonęło w siebie potrzebną do przygotowywania ilość wody i wsypywane bywa do gniotownika. Tutaj przechodzi najpierw przez walce, pomiędzy którymi ulega zgnieceniu na ciasto, a następnie przez aparat, posiadający niejakie podobieństwo do wielkiej maszyny do siekania mięsa. Ciasto przechodzi mianowicie pomiędzy obracającym się cylindrem, a nieruchomym otaczającym go płaszczem, — cylinder zaopatrzony jest w noże, ustawione w kształcie śruby, płaszcz w odpowiednie tępe wywyższenia. Pomiędzy tymi nożami ciasto ulega starciu i spada następnie na przetak, który zatrzymuje niedostatecznie jeszcze rozdrobnione części; takowe za pomocą samodziałającego przyrządu przechodzi ponownie tę samą drogę, jak pierwszy raz. Potem rzecz rozwija się tak, jak dotąd: do ciasta dodaje się kwasu i wypieka je po przebyciu fermentacyi. Cały ten sposób wymaga tylko kilku godzin czasu i daje pieczywo, w którem są zawarte wszelkie części ziarna zbożowego. To właśnie i taniość wyrobu jest główną zaletą tej nowości i zapewnia chleb pożywniejszy, a jednocześnie tańszy od dotychczasowego. Już w r. 1844 sławny chemik Justyn Liebig zwracał uwagę w swych »Listach chemicznych« na znaczną wartość ospy zbożowej, mówiąc co następuje: »Oddzielanie ospy od mąki jest zbytkiem, przynoszącym celom wyżywienia ludzkości więcej szkody, niż pożytku. Jako do-

datek do mąki, ospa posiada daleko większą wartość i nie da się zastąpić żadnym innym surogatem, zawiera bowiem 60 do 70 procent najcenniejszych składników mąki.«

Celem należytego zrozumienia słów powyższych uprzytomnić sobie wypada, jakich substancyi pożywnych potrzebuje człowiek do wyżywienia. Obok wody potrzebujemy trzech rodzajów składników pokarmowych: najpierw t. zw. węglowodanu, jak krochmalu, cukru, tłuszczu, dalej substancyi białkowych, albuminu (w jaju), rezeinu (w serze), leguminu (w roślinach groszkowych); — wszystkie te składniki zawierają azot; — i wreszcie składników mineralnych, przedewszystkiem fosforanu potażu, fosforanu wapna i soli. Do należytego odżywiania się, niezbędne są jedna część składników białkowych, 4,18 części węglowodanu, a więc stosunek, którego nie wykazują pojedyńczo główne nasze pokarmy. Chociaż bowiem ziemniaki wskutek wysokiej swej zawartości krochmalu dostarcza tanio węglowodanu, to brak jednak źródła, z którego uboższa ludność czerpać by mogła swe zapotrzebowanie pożywienia, zawierającego azot. Mięso, ryby, jaja są za drogie, groch i fasola są za mało strawne, aby przez dłuższy przeciąg czasu służyć mogły tej ludności za pożywienie. Natomiast w życie i pszenicy posiadamy pokarm, którego części zawierają azot i węglowodan, wykazują stosunek, odpowiadający w przybliżeniu zapotrzebowaniu pokarmowemu człowieka, jeśli zużywa się całe ziarno.

Podług rozbiorów w rozmaitych krajach, stosunek substancyi azotowych i węglowodanu przedstawia się w pszenicy, jak 1: 5, 7; w życie jak 1: 4, 99, zamiast wymaganego stosunku 1: 4, 27. Chleb więc z żyta, lub pszenicy nie wystarczyłby jeszcze do zupełnego wyżywienia normalnego.

Ojciec i trzej synowie.

(Powieść gminna).

(Dokończenie.)

To dziwiło starą gospodynią, rzekła więc do męża: »Nie bez kozery zamknął parobek tak starannie swego baranka, trzeba mi zobaczyć.«

Potem poszli do sklepu, zkąd małemi drzwiczkami wcisnęli się do komory, zamkniętej na kłódkę. Baranek tak się w siano zagrzebał, że go ledwie znaleźli; potem oglądała go gospodyni z tej i z tej strony, ale nie mogła dobrze obejrzeć wełny jego, bo się na niej bardzo wiele siana pozawieszało, więc rzekła: »kiedyś się w siano zagrzebał, to byś się z niego mógł otrząsnąć, baranku mój!«

Ledwo co to wymówiła, otrząsnął się baranek, a z baranka spadła srebrna wełna. Wyzbierawszy srebro, rzekła do męża: »baranka tego nie oddamy parobkowi, ale wybierz z owczarni podobnego baranka, którego mu oddamy.«

Kiedy świtać zaczynało, wstał Lampart, odebrał podobnego baranka i szedł dalej. W południe stanął w domu swoim i zawołał wszystkie domowniki i rzekł: »Oto patrzcie, co wysłużyłem sobie przez rok służby mojej! Już nam teraz nie potrzeba pracować na panów, bo sami panami będziemy.«

Podniósł potem baranka na stół, i rzekł: »baranku, baranku mój, otrząśnij się!« Ale tą razą nie otrząsnął się baranek i nie spadła z niego srebrna wełna. Rzekł więc drugi i trzeci raz to samo, napróżno jednak. Żartowali i śmiali się z niego wszyscy, a on rozgniewany zabił baranka.

Więc znowu miał ojciec w domu trzech synów, których wyżywić nie mógł. Ostatniego jednak nie myślał w świat wyprawić, bo mu się zdało, że ten trzeci był najgłupszy z jego synów. W całej okolicy nie zwano go inaczej tylko Gawron, dla tego, że nie umiał tańczyć ani drużbować po weselach. Więc tego Gawrona nie chciał stary ojciec wysełać na wędrówkę, ale on widział i czuł biedę, która się w domu rozgościła, a ojca swojego kochał bardzo; nie chciał też, aby na stare lata głód i niedostatek cierpiał. Cichaczem tedy nabrał w tłomoczek chleba i powędrował. I wędrował także za owę górę, gdzie przy drodze pasł owce staruszek; u niego przyjął służbę, podobnie jak bracia, i pilnował gromady przez rok cały. Po roku wrócił znowu staruszek i przyniósł ze sobą miech podarty i rzekł:

»Służyłeś mi mój parobku wiernie, za to ci daję ten miech. Jak wyjdziesz za górę, to powiedz: mieszku, mieszku mój, odwiąż się!«

Gdy to Gawron wyrzekł za górami, miech się odwiązał, a z miecha wypadły dwa kije dębowe i biły na około, aż ziemia jęczała. Parobek przestraszony kazał im co tchu się schować. Szedł potem do wieczora, a na nocleg stanął w tej samej gospodzie, gdzie była mądra gospodyni, i rzekł do niej: »scho-

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 15-go Kwietnia 1897. Nr. 15.

,,Światło" wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczce (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa ,,Katolika" w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

Biedny ojciec wyszedł i błądził po wspaniałym pałacu, nie mogąc pojąć swego wielkiego nieszczęścia, które tak nagle na niego spadło. Był jak złamany i napróżno szukał oparcia w tym upadku. Dzisiaj po raz pierwszy przekonał się, że słaba moc śmiertelnego człowieka nie wystarcza do zniesienia ciężaru wielkiego nieszczęścia. Lecz napróżno wyczekiwał pokrzepienia od swoich bóstw pogańskich; żadne z nich nie wyciągnęło łaskawej ręki, aby podnieść go, a filozofia jego okazała się zupełnie w tym kierunku bezsilną.

Wtem jedna z niewolnic przyniosła pismo, znalezione teraz dopiero na stole w komnacie Sofronii. Rufinus poznał rękę żony i chciwie zaczął czytać, co następuje:

»Mój mężu, sam Bóg wie, jak serdecznie kocham ciebie i nasze dzieci i jak mi serce pęka, że muszę was opuścić, nagle, bez pożegnania. Lecz nie mogę postąpić inaczej. Co mam najświętszego, to muszę bez skazy zachować; zginęłabym ze wstydu, gdybym pohańbiona do ciebie wrócić miała. Tem mniej zaś mogłabym się odważyć na prośbę o białą szatę świętego chrztu, której tak bardzo pożądam. Całą gorącością serca mego błagam Boga o wskazanie mi innej drogi ratunku; jeżeli pomoc nie nadejdzie, natenczas będę posłuszną wewnętrznemu głosowi memu i ujdę jak jeleń przed zasadzką strzelca w górę, dokąd nie zdąży noga prześladowcy. Chrystus, w którego w cichości wierzyłam, którego umierając wyznaję, przyjmie duszę moję. W niebie będę się za ciebie modliła! Waleryo, słodkie dziecię moje, pociesz ojca twojego; poleć mnie modłom Kościoła; pamiętaj...

Pismo było niedokończone; wejście wysłańca cesarskiego do komnaty przeszkodziło Sofronii napisać, jako wierzy i ma nadzieję, że niedługo się tam zobaczą, gdzie rozłączenie nie zagraża szczęściu błogosławionych.

Rufinus odczytywał kilkakrotnie pismo a smutek jego znajdował pewne ukojenie w obfitych łzach. Jaką czułą miłością przejęte było każde słowo Sofronii; jak w każdem zdaniu odźwierciadlała się szlachetna i wielka dusza jej!

Historya rzymska opowiada podobne zdarzenie o Lukrecyi, która nie chcąc przeżyć hańby, śmierć sobie zadała. Któżby był myślał, że i teraz jeszcze znajdzie się takie bohaterstwo? Czyn Sofronii przewyższał nadto o tyle czyn Lukrecyi, że przyczyny zabójstwa jej były szlachetniejsze i źródło swoje miały

w zacnem zapatrywaniu o czystości i wierności małżeńskiej chrześcian.

W tej chwili oznajmiła jedna z niewolnic, że Walerya ocknęła się z omdlenia i życzy sobie widzieć ojca. Gdy nadszedł, wyciągnęła ku niemu rękę; oboje nie przemówili ani słowa; oczy ich i uścisk rąk jedyną był mową.

Tymczasem przybyła do domu żałoby Irena, zaufana przyjaciółka Sofronii, której doniesiono o tem, co się stało. Ta czcigodna matrona, pełna miłości chrześciańskiej i współczucia dla bliźnich, potrafiła balzam przykładać na palące rany; wnosiła pokój do domu; dokąd przybyła, tam się też pojawiały: poddanie i nadzieja, owe dwa anioły, zesłane przez wieczne miłosierdzie na ten padół płaczu, aby słabi śmiertelnicy nie upadli pod ciężarem swoich krzyżów.

Przy śmierci szlachetnych ludzi tajemniczą bywa pociechą dla pozostałych wspomnienie ostatnich słów i czynów zmarłych, — złota zorza wieczorna po słonecznym dniu. Irena opowiadała przeto, jak Sofronia jeszcze wczoraj w południe do części miasta, zwanej Zatybrzem się udała, aby pewnej biednej położnicy przynieść żywności a dla jej dziecka świeżej bielizny. Potem wspominała o jej cichych cnotach, bohaterskiem poddaniu się woli Boskiej, o słowach zaufanej przyjaciółki, które wypływały z głębi jej szlachetnego serca, jak woń wypływa z kielicha róży. A obraz Sofronii, przedstawiony przez Irenę, jakże uzupełniały słowa umarłej, w ostatniej chwili pisane!

Przepełnione miłością do zmarłej rozmawiały Irena z Waleryą o niej, nie biorąc na to względu, że Rufinus obecny przy tem, inne miał zapatrywania religijne od nich; i Sofronia w tym samym duchu napisała słowa pożegnania. Prefekt jednak mając serce pragnące pociechy, przyjmował wszystko, jak spieczony grunt przyjmuje orzeźwiający deszcz. Zawsze on sobie myślał, że znał Sofronia aż do dna duszy: teraz dopiero otwarła się przed nim głębia jej czystego i szlachetnego serca. A jakież to wzniosłe myśli słyszał dzisiaj po raz pierwszy, myśli, które zdały się być jak przyrodzone Irenie i jego córce.

Rufinus wiedział, że małżonek Ireny z dwiema córkami dla wiary chrześciańskiej śmierć męczeńską poniósł, lecz nigdy się nie pytał o bliższe okoliczności, towarzyszące ich śmierci. Teraz jednak chciał się dowiedzieć, jak słaba niewiasta stratę męża i dzieci przeboleć zdołała i w smutku swym pociechy łaknącym prosił ją o wyjaśnienie tego.

Irena zrozumiała myśli Rufina i chętnie spełniła jego życzenie.

— Gdy krwawe edykta Dyoklecyana wydane zostały, — tak zaczęła opowiadać, — a Maksymian, urodzony na okrutnika, chrześcian ze wszystkich kryjówek wypędzał, nasze kościoły i gospody zabierał, oddał mąż mój Kastulus, sprawujący wówczas przy cesarzu urząd pierwszego ochmistrza dworu, nasze mieszkanie na kościół. Podczas gdy Maksymian wyroki krwawe podpisywał, chrześcianie święcili w jego własnym pałacu święte tajemnice. Czy przypominasz sobie, szlachetny Rufinie, walecznego trybuna Sebastyana?

— Tego, którego najprzód numidyjscy łucznicy zastrzelili, odpowiedział prefekt, a który gdy potem jeszcze do życia się ocknął, pałkami ubity został. Przypominam go sobie, bo wówczas mówiono o nim dużo.

— Myśmy ciało jego, mówiła Irena dalej, przynieśli w tajemny sposób do naszego mieszkania, ażeby je w cichości następnej nocy pochować. Lecz ku wielkiej naszej radości zauważyliśmy, że Sebastyan jeszcze żyje i pieczołowitości naszej udało się, wycieńczone upływem krwi siły męczennika pokrzepić! Zaledwie wyzdrowiał, gdy chcąc cierpieć i umrzeć za Chrystusa, stanął przed cesarzem. Maksymian kazał go zbić jak psa a potem pilnie się dowiadywał, gdzie Sebastyan znalazł przytułek i opiekę. Dowiedziawszy się, że urzędnik jego własnego dworu, w jego własnym pałacu przyjął chrześcianina, a nadto że w mieszkaniu tegoż urzędnika chrześcianie się zgromadzają na nabożeństwa,

rozgniewał się cesarz do wściekłości. Męża mego natychmiast pochwycono a po trzykrotnych przesłuchach i torturach przed bramą labikońską, zakopano go żywcem w pobliżu wodociągu klaudyńskiego.

Tu Irena zamilkła na chwilę, bo wzruszenie ją wielkie opanowało.

— Mnie zawleczono z obiema córkami, jedną szesnastoletnią, drugą piętnastoletnią do więzienia. Moje najmłodsze dziecko, mój Kandydus, uszedł zemsty cesarza, bo krótko przedtem wysłany został do Galii na nauki do szkoły wojskowej. Kilkomiesięczne więzienie, jakkolwiek okropne, nie tyle mnie bolało, jak to, że zostałam odłączona od dzieci i mimo próśb ani dostać się do nich, ani czegośkolwiek dowiedzieć o nich się nie mogłam. Pewnego rana wszedł do mnie dozórca z zimną obojętnością i powiedział mi, że oba dziewczęta zmarły na febrę. Błagałam, ażeby mi pozwolił zobaczyć ich ciała, choćby tylko na chwilę, lecz nie chciał słyszeć o tem; dopiero gdym mu jego własne dzieci przypomniała, rozczulił się i zaprowadził mnie do moich dziewcząt. Jakiż okropny przedstawił mi się widok! Obie córki moje leżały martwe na posadzce więzienia, jak dwa ścięte kwiaty. Jedna miała wyciągnięte ramiona w kształcie krzyża, druga spoczywała obok niej...

Łzy stłumiły głos Ireny; Rufinus wzruszony podjął rękę Waleryi, jakby się chciał upewnić, że jej nie stracił.

Czcigodna matrona zaś osuszyła łzy, które jej bolesne wspomnienie wycisnęło i mówiła tak dalej:

— Wstąpienie Maksencyusza na tron otworzyło drzwi mego więzienia. Najprzód udałam się do grobu mego małżonka a potem do moich dzieci, które w wspólnym grobie złożono. Odtąd jestem, jak odarte z liści drzewo w zimie, wyciągające swe nagie gałęzie ku niebu. Tylko jednę pociechę i jedną nadzieję pozostawił mi Pan: mego syna Kandyda.

Tu Irena zamilkła; milczał też Rufinus. Ileż wycierpiała ta słaba niewiasta! Zkąd jej się brało męztwo w takich doświadczeniach?...

Waleryi tymczasem wróciły siły do tyla, że prosiła ojca, ażeby jej pozwolił, zmarłej matce oddać ostatnie usługi. Ponieważ Irena prośbę jej poparła, Rufinus nie sprzeciwiał się. Kto kielich doświadczeń z męztwem pije, ten znajduje na jego dnie tajemniczą moc Boską: Irena wiedziała o tem z własnej niedoli.

Walerya udała się z Ireną do tablinum, dokąd ciało zmarłej przeniesiono; Rufinus zaś pozostał sam z swoim bólem i swemi myślami, lecz ból złagodniał, a myśli stały się jaśniejsze.

Gdy brzaski ranne oświecą ciemną toń morza, wygładzają się fale a żeglarz wita z dziękczynieniem nastający dzień.

Walerya uklękła przy ciele matki i objąwszy ramionami drogą głowę, mówiła:

— O najsłodsza matuchno, ochrzceni krwią własną, stanęliście przed tronem Boskim. Nie chcę płakać! Córka tak mężnej niewiasty winna się okazać godną swej matki. Oby Pan Bóg słabą trzcinę raczył przywiązać do drzewa krzyżowego: we łzach spoglądam ku waszej niebieskiej chwale i wielbię z wami Pana naszego.

Potem zabrała się Walerya z pomocą Ireny i dwóch służebnych do bolesnej a zarazem słodkiej pracy. Namazały ciało drogimi olejkami, ubrały je w szaty złotem przetykane, w ręce włożyły gałązkę palmową a wieniec z róż na głowę. Stósownie do rzymskiego zwyczaju postawiono potem ciało nogami ku drzwiom i otoczono lampami; w naczyniu, zwanem acerra płonęła myra, napełniając komnatę przyjemną wonnością.

Szatę matki, zbroczoną krwią jej serca zabrała Walerya jako pamiątkę i zamknęła ją do pudełka z kosztownego drzewa, które było okute w srebro i zdobne słoniową kością.

Irena podjęła się donieść o śmierci w urzędzie przy świątyni Libityny i postarać się o ludzi do niesienia ciała; Walerya zaś udała się do ojca, ażeby

być przy osamotnionym. Wiedziała, jak bardzo mu pociechy potrzeba; wszakże jeszcze mu w mrokach nieszczęścia nie przyświecało światło łaski i wiary, które jej ułatwiały znieść bolesną stratę przez poddanie się woli wszystkiem rządzącej Opatrzności i w nadziei, że się kiedyś ze zmarłą zobaczą.

Zastała ojca w zamyśleniu nad pismem Sofronii. Podał jej to pismo i rzekł:

— Przeczytaj mi to głośno; w twoim głosie słyszę głos matki.

Walerya zaczęła czytać. Zrazu zdołała zapanować nad swojem wzruszeniem; gdy jednak zobaczyła, jak ojcu łza po łzie po licach spływa, nie mogła się wstrzymać od płaczu. Lecz zwyciężyła w sobie ból i doczytała pismo do końca. »Chrystus Pan, w którego w cichości wierzyłam, którego umierając wyznaję, przyjmie moję duszę, a ja chcę się u góry za ciebie modlić!«

— Ach, dla czegóż wstrzymywałem ją od tego, żeby szła za wskazówką serca! — westchnął Rufinus.

— Teraz modli się ona za was, ojcze, za nas obojga, — odpowiedziała Walerya.

Na życzenie ojca zawiodła go Walerya do komnaty, gdzie zmarła leżała. Jakkolwiek widok ukochanej osoby go bardzo wzruszył, to jednak teraz już nie sam ból tylko napełniał serce jego, lecz prawie święta cześć. Uklęknąwszy przy leżącej, położył pismo ostatnie na piersi Sofronii i chcąc niejako z ust zmarłej usłyszeć słowa pisma, to na twarz zmarłej, to na pismo zwracał swoje oczy smutne. Sofronia umarła, aby mu dochować małżeńskiej wierności; lecz Rufinus czuł, iż do tej ofiary była zdolną tylko z powodu chrześciańskiego ducha. Zwykłych uprzedzeń względem chrześcian pozbył się był Rufinus już dawniej, patrząc na cnoty swojej żony i córki; nie przypuszczał jednak, aby ich religia do tak wzniosłych ofiar zagrzewać mogła, to było dla niego rzeczą nową i głęboko go przejęło.

Czego słowo małżonki za życia nigdy by nie było osięgnęło, to się udało zmarłej; pociągała go ona ku górze, dokąd się schroniła, — a serce jego nie wzdrygało się, iść za nią.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NIE BĘDĘ CIĘ RWAŁA.

Nie będę cię rwała,
Konwalijko biała,
Bobyś ty na moję
Płochość narzekała.

Myślałabyś sobie:
Że to na złość robię;
Rośnij więc szczęśliwie,
Gajom ku ozdobie.

Nie mam ja dziś komu
Kwiaty nieść do domu,
Nikt mi ich nie wyjmie
Z włosów pokryjomu.

Niema już sąsiada,
Co kwiaty wykrada,
Zdradziecki to chłopiec
Ale słodka zdrada!

Pokąd nie przyjedzie,
Nic mi się nie wiedzie,
Bo wciąż tylko myślę
O młodym sąsiedzie.

I wszystko mnie nudzi,
Uciekam od ludzi,
Nawet zrywać kwiaty
Chętka się nie budzi.

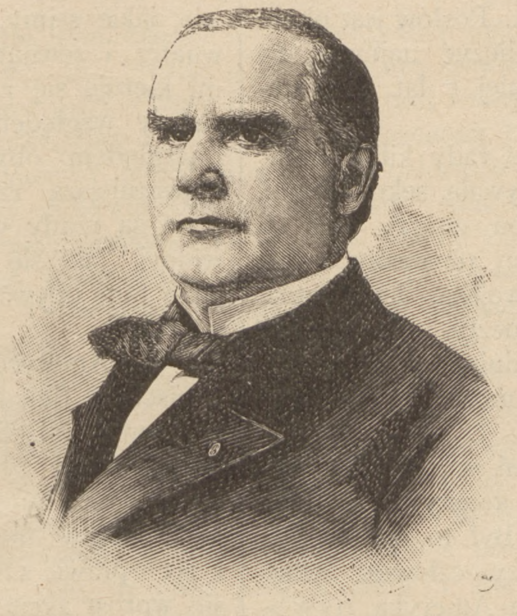
Możesz więc w spokoju
Rosnąć tu przy zdroju,
Dziś mi nic nie przyjdzie
Z kwiecistego stroju.

Lecz gdy wróci luby
Zawrzeć ze mną śluby,
Wtedy, konwalijko,
Już nie ujdziesz zguby.

Adam Asnyk.

RZĄD W AMERYCE.

Większa część północnej Ameryki nie jest królestwem ani cesarstwem, lecz rzecząpospolitą, republiką. Składa się z 38 prowincyi, stanów, i nazywa się też dla tego »stanami zjednoczonymi północnej Ameryki«. Każda prowincya (stan) ma swoje osobne rządy, swego prezydenta, sejm, swe prawa, ustawy itd. W Europie jesteśmy do tego przyzwyczajeni, że wszystkiem rządzi się z jednego miejsca np. z Berlina. Dla wszystkich prowincyi są jedne prawa główne, dla Ślązka, Pomeranii, Poznańskiego itd. W Ameryce jest inaczej. Każdy stan (prowincya) sama swoje sprawy ma w ręku zupełnie, tylko niektóre ogólne sprawy ma w ręku rząd główny we Waszyngtonie, mieście stołecznem. Wewnątrz kraju do rządu ogólnego należą: podatki ogólne, cła, pieniądze, poczty; rząd główny udziela patentów i przywilei. Do niego też należą sprawy wojskowe i okrętów wojennych, sprawy miary i wagi handlowe. Na zewnątrz rząd główny utrzymuje stósunki z innemi państwami, rozstrzyga o wojnie i pokoju.



Mac Kinley,
prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.
(Obacz artykuł »Rząd w Ameryce«).

Na czele ogólnego rządu stoi prezydent, którego lud wybiera co cztery lata, lecz nie wprost, tylko przez walmanów. (Obecny zwie się Mac Kinley).

Żaden poseł i żaden senator nie może być walmanem. Głosy walmanów odsełają się do przewodniczącego senatu, a ten przy posłach liczy takowe. Jeżeli żaden kandydat nie ma większości głosów, posłowie wybierają prezydenta z pomiędzy pięciu, którzy przy wyborach otrzymali najwięcej głosów. Kto po prezydencie miał najwięcej, zostaje wiceprezydentem. Prezydent musi być rodowitym Amerykaninem, i musi mieć najmniej 35 lat. Pensya prezydenta jest bardzo mała. Otrzymuje on 25.000 dolarów, wolne mieszkanie, opał i niektóre inne potrzeby. Prezydent ma prawo ułaskawiania ludzi skazanych przed sądem. Ugody z innemi państwami może zawrzeć tylko za zezwoleniem $^2/_3$ posłów. Urzędników może prezydent mianować, porozumiawszy się ze senatem. Prawa uchwalone przez sejm i senat potwierdza prezydent. Jeżeli jakiego prawa potwierdzić nie chce, musi podać powody, a jeżeli $^2/_3$ posłów znowu są za tem prawem, to mimo prezydenta prawo zobowięzuje.

Największą władzę mają posłowie czyli kongres (sejm). Kongres składa się z dwóch izb, z izby posłów i izby senatorów czyli senatu. Kongres zbiera się przynajmniej raz do roku we Waszyngtonie. Posłom płacą 8 dolarów dziennie, mają też wolną jazdę na żeleźnicach. Jeżeli potrzeba, może prezydent zwołać kongres na nadzwyczajne posiedzenie. Rozwiązać kongresu prezydent nie może. Posłowie mogą wyrzucić posła niegodnego, lecz musi za tem głosować znowu $^2/_3$ posłów. Żaden urzędnik nie może być posłem ani senatorem. To jest bardzo mądre rozporządzenie, ponieważ urzędnik mógłby wyzyskać poselstwa na korzyść swoją i rządu i ponieważ urzędnik jest zależ-

nym od swych przełożonych. To jest n. p. w sejmie pruskim wielkie nieszczęście, że tylu urzędników, lantratów i innych jest posłami. Ci posłowie nie śmią często inaczej głosować, jak rząd chce. Dla tego bywa tyle praw, z których lud nie jest kontent.

Do senatu wybiera w Ameryce każda prowincya (stan) dwóch senatorów. Jednakowoż nie wybiera ich lud, lecz sejm prowincyonalny na 6 lat. Każdy senator musi mieć najmniej lat 30, i musi mieszkać w tej prowincyi, z której go posełają.

Posłów wybiera lud wprost na dwa lata, na mniej więcej 100,000 ludności przypada jeden poseł. Posłów jest około 3000. Poseł musi liczyć najmniej 25 lat i musi być najmniej 7 lat obywatelem amerykańskim.

Prezydent ma do rady kilku ministrów, którzy się nazywają sekretarzami, n. p. sekretarz skarbu znaczy tyle co u nas minister skarbu (finansów). Jest potem sekretarz dla wojska, dla okrętów państwowych, dla poczty, dla sądów. Prezydent powołuje ministrów za zezwoleniem senatu, lecz może im odebrać urząd bez senatu.

Podstawą urządzeń w państwie, prowincyi i gminie jest konstytucya, którą ułożył Waszyngton. Był to najsławniejszy i najszlachetniejszy człowiek Ameryki. On sprawił, że Ameryka oswobodziła się z pod panowania Anglików, on wszystkich zjednoczył, natchnął dobrym duchem i jak najlepiej wszystko uszykował, obmyślił dobre prawa i urządzenia dla całego kraju, aby panowała wolność rozumna, aby każdy obywatel miał te prawa, jakie mu się należą według prawa przyrodzonego Boskiego, aby żaden pojedyńczy człowiek nie mógł się wynieść nad drugich i nie mógł tyranizować i dusić swych współobywateli, czego już dla tego nikt uczynić nie może, ponieważ w Ameryce nie ma wojska, za pomocą którego mógłby jeden rozkazywać wszystkim. Wszyscy Amerykanie czczą i szanują Waszyngtona jako swego ojca, patryarchę, fundatora. Póki Ameryka istnieć będzie, sława Waszyngtona przechodzić będzie z jednego pokolenia na drugie, będzie on wzorem męża wielkiego serca i rozumu, wzorem męża kochającego prawdziwie kraj i lud, który nic nie robił dla siebie i swego zysku, lecz wszystko dla drugich i dobra ogólnego.

W tym kraju lud czuje się najszczęśliwszym, w którym mu najwygodniej żyć, w którym w sposób najprostszy może zaspokoić potrzeby swoje naturalne, w którym nie jest bez potrzeby skrępowany i obciążony, w którym ma bezpieczeństwo dla swej osoby i mienia.

Ważną rzeczą jest dla obywatela, jakie są rządy najwyższe, jacy ministrowie, jakie sejmy, jaka polityka na wewnątrz i zewnątrz, t. j. jakiemi zasadami kieruje się rządzca kraju i jego doradzcy względem państw zagranicznych i względem obywateli własnych. Lecz najważniejszą rzeczą dla ludu jest to, jakie są rządy w gminie, powiecie, prowincyi, jak się tam prawa wykonują, jakie tam obywatele mają prawa i obowiązki.

W Ameryce rządy i urządzenia miejscowe (lokalne) mają jeszcze więcej znaczenia aniżeli w innych krajach, ponieważ rząd główny, ogólny we Waszyngtonie, mieście stołecznem, bardzo mało spraw ma w swojem ręku, a z tych prawie same takie, które nie tyczą się wprost życia ludu, wyjąwszy pocztę.

Kto chce poznać i ocenić, jak obywatele żyją w Ameryce, jakie mają prawa i obowiązki, jak jest urządzona maszyna państwa, maszyna życia publicznego, ten musi zwrócić uwagę na rządy i urządzenia gminne, powiatowe, prowincyonalne. Tu się okazuje, co to znaczy samorząd, jak się to obywatele sami rządzą, bez urzędników z góry im nasełanych. Tu się pokazuje, co znaczy wolność obywatelska. Tu się pokazuje praktyczny zmysł amerykański i siła, jaka spoczywa w narodzie, skutkiem której lud się trzyma i trzymają się sprawy publiczne mimo wielu złych ludzi i wiele złego i wielu nadużyć i niedostatków płynących z natury ludzkiej.

Główną rzeczą w Ameryce jest to, że ludziom w każdem mieście i miasteczku, w każdej wsi, w każdej okolicy i prowincyi nie przepisują z góry od zielonego stolika, z biur urzędników, ministrów, jak mają swoje sprawy w gminie i powiecie urządzić, nie wydają równych na wszystkie okolice i dla wszystkich przepisów, nie nasełają urzędników, prezesów, lantratów, burmistrzów, którzy często z daleka przychodzą i nie znają stósunków i ludzi, którymi mają kierować. Tego wszystkiego, do czego my w Europie jesteśmy przyzwyczajeni, tego nie ma w Ameryce. Dla tego też nie można powiedzieć: w gminach amerykańskich są takie a takie urządzenia, ponieważ tam w każdej okolicy, w każdej prowincyi ludzie inaczej się urządzili, jak im najwygodniej i najpraktyczniej, według okoliczności, według upodobania i przyzwyczajenia mieszkańców.

NIECO O BALONACH.

Czem okręty na wodzie, tem balony w powietrzu — mają być, bo jeszcze nie są. Podczas bowiem gdy okręty stanowią nadzwyczajnie potrzebny i pożyteczny środek komunikacyjny między odległymi krajami, balony zaledwie niejaki pożytek nauce i wojnie przynoszą, w ogóle zaś są środkiem komunikacyjnym wielce niepewnym i niebezpiecznym. Wynalazek balonów, mimo że przeszło 100 lat już jest znany, wymaga jeszcze wielkiego udoskonalenia, szczególnie pod względem sterowania, czyli kierowania balonami w powietrzu.

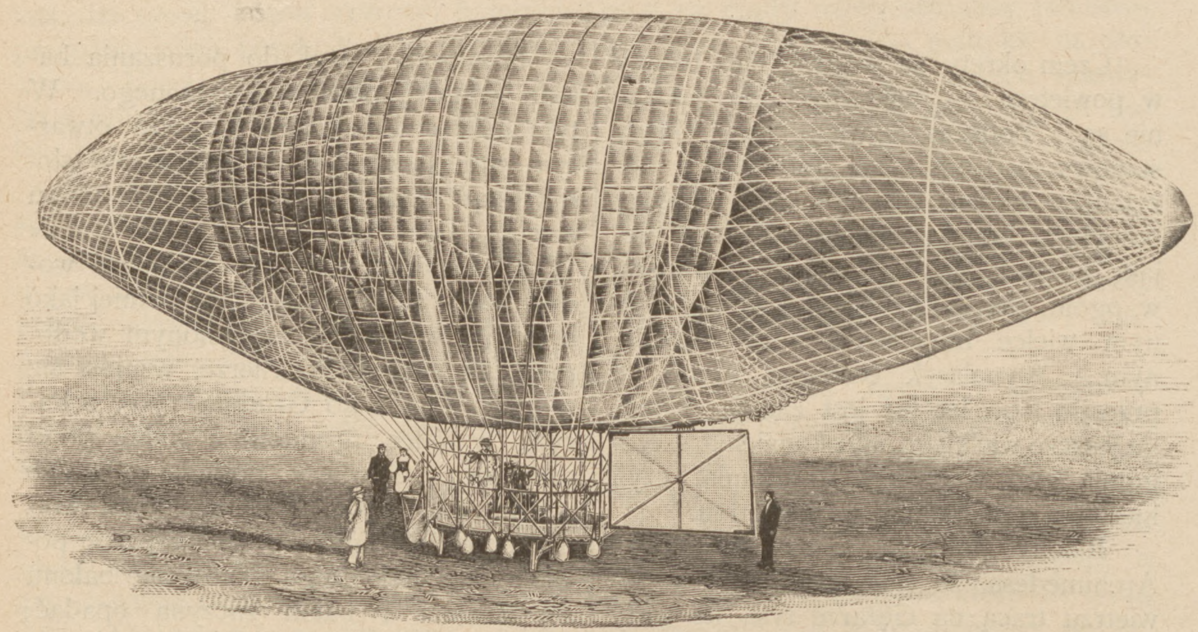
Balony polegają na zasadzie prawa Archimedesa, że ciała zanurzone w powietrzu tracą na ciężarze tyle, ile waży powietrze przez nie usunięte. Skoro zaś ciało doznaje w powietrzu utraty ciężaru, musi podlegać ciśnieniu z dołu do góry. Ciała ciężaru takiego samego, co powietrze, jak mgły i chmury, unoszą się w powietrzu; ciała lżejsze od powietrza muszą się w niem wznosić w górę.

Na tej zasadzie wynaleźli roku 1782 bracia Montgolfierowie z Anonay we Francyi balony. Balon składa się z lekkiej ale silnej powłoki, kształtu zwykle kulistego, która napełniona lekkim gazem, wypręża się i wygląda jak ogromna gruszka. U dołu tejże przywiązana jest tak zwana łódka, w której mieszczą się podróżnicy z wszystkiem, czego im w powietrznej podróży potrzeba.

Montgolfier użył do poruszania balonu w górę powietrza ogrzanego. W tym celu pod balonem u spodu otwartym umieszczoną była paląca się słoma; ztąd balony o ogrzanem powietrzu zowią się »montgolfierami.« Wkrótce potem Charles zastósował wodór, który tu się nadaje korzystniej jako lżejszy, i w balonie napełnionym wodorem, tak zwanym szarlierze, wzniósł się w górę dnia 1-go Grudnia 1793 z Paryża w łódce (gondoli) u spodu przyczepionej. Szarliery posiadają bardzo wielką siłę pędu, atoli są kosztowne, nadto wodór łatwo przenika przez powłokę, wskutek czego wznoszenie balonu się zwalnia i balon zaczyna opadać; nadto, w miarę jak balon dostaje się w górne warstwy, gdzie ciśnienie powietrza jest słabszem, wodór silnie się rozszerza i grozi rozerwaniem balonu. Należy przeto balon z początku niezupełnie napełniać i zostawić go u spodu otwartym, aby gaz zbyteczny łatwo mógł uchodzić. Należy też u góry osadzić klapę dla wypuszczania gazu, gdy żeglarz napowietrzny (aeronauta) zamierza się obniżać. Na przypadek zaś znacznej utraty gazu należy brać ze sobą balast (ciężar), złożony z worków z piaskiem, aby przez wyrzucenie go przeszkodzić zbyt prędkiemu obniżaniu się lub wywołać nowe podniesienie się. Atoli utraty gazu i balastu w górze wynagrodzić nie można, wskutek czego

dowolne wznoszenie się i zniżanie staje się wkrótce niemożliwem. Niedostatków tych montogolfiery nie mają, gdyż tu można przez wzmacnianie lub zmniejszanie ognia wywoływać dowoli podnoszenie się lub zniżanie. Dla tego też podróżnik Pilâtre de Rozier, który już przed Charles'em dwa razy się wzniósł balonem, połączył mały montgolfier z wielkim szarlierem, aby większą siłę wznoszenia drugiego połączyć z łatwiejszem kierownictwem pierwszego. Połączenie jednak takie, z powodu łatwej palności wodoru zbyt jest niebezpiecznem i odważny aeronauta próbę tę przypłacił życiem.

Obecnie balony napełniają się najczęściej, za przykładem Anglika Greena gazem oświetlającym. Gaz oświetlający jest wprawdzie tylko dwa razy od powietrza lżejszym, ale przy znacznych wymiarach balonu dobrze się nadaje. Green takim balonem przebył w ciągu 19 godzin drogę z Londynu do Weilburga. W Warszawie, puszczał się po raz pierwszy balonem Blanchard w towarzystwie Jana Potockiego 1788. Największy balon, jakim podróże przedsiębrano, był olbrzym Nadara, złożony z dwóch nad sobą stojących balonów, obejmujący 6000 metrów sześc. gazu i wysoki na 45 m.; łódka podobna do wagonu, złożona z kilku oddziałów, mogła objąć do 40 osób. Wielka podróż, jaką Nadar przedsięwziął, wzniósłszy się w Paryżu 18-go Października 1863, a następnego dnia o 10-tej rano spuściwszy się w Hannowerskiem, skończyła się nieszczęśliwie; klapa zawiodła i balon długo był od ziemi odbijany, tak że z 9 podróżników kilku doznało ciężkich ran.



Balon opatrzony sterem.

Praktycznych rezultatów balony w ogóle nie wydały. Starano się je zastósować do celów wojennych, mianowicie do obserwacyi nieprzyjaciela; w tym nawet celu w czasie wielkiej rewolucyi francuskiej urządzoną była kompania »aerostierów«, która oddała pewne usługi, zwłaszcza w bitwie pod Fleurus 1794. Najwięcej używano ich w ostatnich wojnach w Ameryce.

Podróże naukowe, przedsiębrane były przez Biot'a i Gay-Lussac'a (1804), Baral'a Bixio (1850—52), Glaisher'a (od roku 1862 przeszło 25 podróży), Tissandrier'a, Flammion'ra i Fonvielle'a. Obserwuje się tu przedewszystkiem zniża-

nie temperatury i ciśnienia w miarę wzniesienia, prądy atmosferyczne, elektryczność powietrzna itd.

W czasie wojny francusko-niemieckiej balony znowu zwróciły na siebie powszechną uwagę, posłużyły bowiem do wydostawania z oblężonego Paryża; między innymi tym sposobem opuścił Paryż Gambetta.

Niewielka użyteczność balonów pochodzi ztąd, że nie potrafimy nimi kierować. Chodzi o to, ażeby wynaleść ster, którGyby przy najmniejszym ciężarze wytwarzał znaczną siłę. Od dawnych lat ciągle się mozolą ludzie nad tem i nie brak w tem postępu, lecz dotąd jeszcze nikt nie zdołał wymyśleć coś istotnie doskonałego.

Na ostatniej wystawie w Berlinie wystawił aeronauta dr. Woelfert balon, zupełnie innego kształtu, niż zwyczajne, z przyrządem sterniczym. Balon ten (który podajemy w dzisiejszem »Świetle«) ma kształt elipsy 28 metrów długiej, $8\frac{1}{2}$ metra średnicy. Waży 700 kilogramów. W łodzi, wyglądającej jak galerya, mieści się motor o sile ośmiu koni. Tenże motor porusza dwie śruby okrętowe, mające po $2\frac{1}{2}$ metra średnicy. Jedna z nich, przeznaczona do posuwania balonu naprzód, jest umieszczona na przodzie łodzi; druga zaś pod łodzią. Ostatnia służy do wznoszenia balonu w górę i opuszczania go w dół. Każda z tych śrub obraca się 500 razy na minutę.

Wynalazca, dr. Wölfert, puszczał się z placu wystawy w powietrze i rzeczywiście posuwał podług woli balon naprzód, wznosił go wyżej lub opuszczał niżej. Lecz nie zdołał przekonać ciekawych, czy przyrząd sterniczy okaże się równie praktycznym, skoro balon w wyższe regiony powietrzne się wzniesie lub gdy powietrze nie będzie spokojne, lecz wietrzne. Uczony nie ustaje w doświadczeniach. Także i inni ciągle nad udoskonaleniem balonów przemyśliwają.

FIGIEL KUMOTERSKI.

W miasteczku A. bogaty piekarz trzymał znajomemu swemu kramarzowi różnych towarów, synka do chrztu św. Z kościoła powrócił piekarz do domu po żonę, która też naturalnie proszona była na chrzciny.

Podczas gdy młoda i ładna pani majstrowa stroiła się w czarną jedwabną suknię i w ładny czepeczek z pąsowemi wstążkami, w którym jej bardzo było do twarzy, mąż poszedł do biórka zobaczyć, czy też jest dobrze zamknięte, bo w niem leżało kilkaset talarów w rulonikach, starannie ułożonych obok siebie.

Piekarz, jak to w małem mieście często bywa, miał oprócz piekarni, spory kawał urodzajnej ziemi, więc chował dużo bydła i trzody, za które właśnie zgarnął przed kilku dniami owe pieniądze.

Zamknąwszy starannie biórko i kram, schował piekarz klucze do kieszeni, służącej polecił, aby pilnowała dobrze domu, w którym sama zostawała, i z wystrojoną swoją połowicą wyszedł z pokoju. W tej samej chwili wchodził do sieni, przybyły z pobliskiego powiatowego miasta, rzeźnik, stary przyjaciel piekarza; tuż za rzeźnikiem szedł jego ogromny czarny pies, Neron.

— A! jaka szkoda, panie majstrze! — rzekł piekarz, przywitawszy gościa. Przychodzicie pewnie względem moich tuczników? Ja zaś oto wybrałem się z moją na chrzciny.

— A długo tam będziecie bawili? — spytał rzeźnik.

— Toć zawsze parę godzin, bo to będą chrzciny nie lada. Mój kumotr coś słyszę, myśli się wysadzić: podobno nawet muzykę zamówił i pół miasta sprosił.

— Hm! W takim razie nieprędko wrócicie — mówił rzeźnik i zamyślił się nieco, a wreszcie dodał: — Ostatecznie to nic nie szkodzi. Ja tu mam jeszcze trochę interesów, to je załatwię, potem do was wrócę i, jeżeli się nie boicie, żebym wam czego nie ukradł, zaczekam na wasz powrót; bo co prawda nie chciałbym do domu pojechać, nie zobaczywszy sobie waszych tuczników.

— A to dobrze! Możecie sobie nawet przez ten czas tuczniki obejrzeć, to się potem prędko zgodzimy, — odparł rzeźnik, a obróciwszy się do służącej, dodał:

— Jagulka, pokażesz panu majstrowi tuczniki. Jak zaś wróci z miasta, otwórz mu nasz pokój i szafkę z nalewkami, przygotuj dobrą wieczerzę i przynieś ze sklepu czarnego piwa dwie lub trzy butelki, aby się nasz gość miał czem pokrzepić.

Zarządziwszy tak wszystko i uścisnąwszy rękę rzeźnikowi, pośpieszył piekarz wesoło na chrzciny, myśląc po drodze z przyjemnością o tych nowych rulonikach, które ułoży przy dawniejszych, a jakie spodziewał się wziąść za swoje tuczniki, dobrze upasione.

U kramarza oczekiwano już z niecierpliwością ojca chrzestnego. Chrzciny były takie sute, jakich w mieście nie pamiętano; gości huk, wieczerza wyborna i obfita, placki jak puch, a wino doskonałe; przytem muzyka grała od ucha skoczne oberki i walce, aż nawet starsi mieszczanie, zapomniawszy o swych latkach, puścili się w tany.

Jedno tylko było niemiłe, że gospodarz domu, ojciec ochrzconego chłopięcia, czyli sam pan kramarz był niezdrów. bolała go głowa i oczy (jedno miał nawet zawiązane, a drugie ledwo odemknięte) lecz nie chcąc psuć gościom zabawy, zjawiał się raz po raz pomiędzy nimi i z wielką serdecznością zapraszał do zabawy.

Wszyscy go szczerze żałowali, a już najbardziej piekarz, jako stary znajomy, bo od dzieci w jednem mieście mieszkali, a teraz nawet kumotr. Ale kramarz mu perswadował, mówiąc:

— Mój kochany kumotrze i wy mili goście, nie turbujcie się o mnie i nie psujcie sobie przez to zabawy! Psotę mi wyrządził ten ból głowy, że akurat dziś przyszedł, to prawda, bo się z wami ucieszyć nie mogę, ale do jutra na głowę zdrów będę, a oczy też się przecież wygoją.

Kiedy jednak wieczór nadszedł i wniesiono lampy, biedny kramarz nie mogąc znieść światła na chore oczy, a nadto obawiając się kurzu, jaki przy tańczeniu powstał, przeprosił gości i już na dobre poszedł na górę do swej sypialnej izby, aby się położyć i dać wypoczynek głowie i oczom.

Pierw jednak wszyscy goście musieli mu dać słowo, że przed północą nie odejdą, że tak długo będą tańczyć, dopóki nóg starczy, i pić, aż nie wypiją wszystkiego wina, które na stołach stoi; zwróciwszy się zaś do kumotra piekarza, rzekł:

— A wy, kochany panie kumotrze, będziecie tu jak u siebie i dopomagajcie mojej w częstowaniu i bawieniu miłych gości; a dopilnujcie, aby się zaś kto przed północą nie wymknął.

— Ano, to już widzę, że muszę tu bawić do ostatka; — zawołał rozochocony piekarz. — Ale już to dla was uczynię, panie kumotrze! Nikogo nie puszczę przed północkiem, jakem wasz kum i przyjaciel!

— A to prawdziwy przyjaciel i szczery pan kumotr — wykrzyknął rozczulony kramarz. — Bodaj się tacy ludzie na kamieniu rodzili!

I nuż całować a ściskać piekarza, powtarzając:

— Zróbcie to dla mnie, panie kumotrze, zróbcie, jakeście dobrzy!

Wyściskawszy się czule, dwaj kumotrowie, puścili się nareszcie i cierpiący kramarz udał się na górę do łóżka, a piekarz do stołu, z którego chwyciwszy pełen kielich wina i podnosząc go w górę, zawołał:

— Zdrowie mego kochanego kumotra, a naszego wspólnego przyjaciela!

Wiwat! Niech żyje! Wiwat! Wiwat! Wiwat!

Podczas kiedy piekarz bawi się tak wesoło na chrzcinach, rzeźnik obejrzał jego tuczniki, wypił kieliszek nalewki i poszedł za interesami do miasta. Bawił długo, bo powrócił nad samym wieczorem do domu piekarza, gdzie już smaczna wieczerza czekała na niego.

Posiliwszy się należycie i wypiwszy dwie butelki piwa, nałożył sobie fajeczkę i usiadł w wielkiem krześle z poręczami, chcąc sobie wygodnie odpocząć, nim piekarz wróci.

Nudziło mu się co prawda trochę, ale, że tuczniki piekarza bardzo mu się podobały, nie chciał odchodzić, nie kupiwszy ich; postanowił przeto czekać na piekarza choćby do późna. Pies Neron położył się u nóg swego pana i zasnął w najlepsze, a rzeźnik, patrząc na niego pomyślał, że gdyby zrobił tak samo, mniejby mu się dłużyło czekanie. Odłożył więc fajkę, rozparł się wygodnie w krześle, nogi wyciągnął, ręce założył na brzuchu, i w tem wygodnem położeniu, po pewnym czasie rzeczywiście zaczął smacznie drzemać.

Spał dość długo, bo gdy kiwnąwszy się silniej, oczy otwarł, w pokoju ciemno już było, jak w miechu. Na dworze niebo zakryło się chmurami, a Jagulka zapomniała widocznie podać lampę.

O pierwszej w nocy musiała służąca wstawać palić do bułek, bo czeladnik piekarza odjechał na kilka dni do chorej matki, a uczeń nie umiał jeszcze obchodzić się z piecem należycie; więc Jagulka już trzy noce miała przerwane. To też korzystając z wolnego czasu, położyła się w izbie za kuchnią, chcąc się przespać trochę. Kładąc się zaś zapomniała zanieść gościowi światło, bo było dość jasno wtedy jeszcze.

— Ady, tu tak ciemno, że człowiek ręki nie widzi przed sobą — szepnął rzeźnik, przebudziwszy się, a głośno zawołał:

— Jagulko! Przynieś, dziewczę, jeno trochę światła.

Ale Jagulka spała mocno, a przedzielona od pokoju, w którym siedział rzeźnik, kuchnią i dwojgiem drzwi zamkniętych, nie słyszała wołania. Gość mruknął coś pod nosem, lecz więcej nie wołał. Że mu się zaś na sen już nie miało, przeto wziął fajeczkę, którą obok siebie na stole położył, i jął ją po ciemku nakładać.

Właśnie sięgnął ręką do kieszeni po zapałki, aby fajkę zapalić, gdy doszedł go jakiś szmer z zaokna, a następnie usłyszał wyraźnie, że ktoś z ulicy, na której wielkie panowały ciemności, majstruje około okna i szybę po cichu wygniata.

— Leżeć! — szepnął rzeźnik do podnoszącego się Nerona, a wiedział, że pies się nie ruszy, dopóki nowego nie odbierze rozkazu.

Tymczasem ktoś z ulicy, wytłoczywszy szybę, otworzył okno i wsadził głowę do pokoju, nadsłuchując. Lecz nic nie słysząc, ani nie widząc w ciemności siedzącego rzeźnika w krześle, ani czarnego psa leżącego u nóg swego pana, wszedł szybko, zręcznie, a po cichu do pokoju otwartem oknem.

Potem, obeznany widocznie dobrze z miejscowością, podszedł do drzwi, zasunął je na zasuwkę, zwrócił się do biórka, które otworzył wytrychem i jął ruloniki z pieniędzmi dawać do kieszeni. Kiedy już ostatni schował, wytrych z biórka wyciągnął i chciał wyjść tą samą drogą, którą przyszedł.

— Neron chwytaj! — zawołał nagle rzeźnik, a w tej samej chwili pies, znakomicie wytresowany, trzymał już martwego na pół z przerażenia złodzieja, za piersi i powalił go na ziemię.

— Puść! — rozkazał teraz rzeźnik psu, a zwróciwszy się do rabusia, dodał:

— Wstań, złodzieju! Ale stój tu w kącie spokojnie i nie ruszaj się, bo Neron nie żartuje: jakby się dostał do twojej gardzieli, to już po tobie.

Następnie wstał i, wskazując psu drżącego ze strachu i tulącego się do kąta człowieka, zawołał:

— Neron, pilnuj! — a otworzywszy drzwi do kuchni, ryknął głosem, jak trąba grzmiącym:

— Jagulka! Wstawaj dziewczę, ale żywo!

Dziewczyna przebudziła się, zerwała z łóżka i po ciemku wpadła do pokoju. wołając:

— Co to? Co się stało? — ale zaraz dodała spokojniej już, o, dla Boga! Ady ja zapomniałam na śmierć, dać panu lampy!

— Nie potrzeba już — odparł rzeźnik. — Leć jeno do pana kramarza i powiedz twojemu panu, żeby zaraz przychodził, bo złodziej jest w domu.

— Gwałtu! Rety! Złodzieje! — zakrzykła służąca tak przeraźliwie, aż Neron zamruczał i poruszył się.

— Cicho mi bądź! — zawołał rzeźnik i nogą tupnął. — Czegóż tak wrzeszczysz?! Żebym był chciał narobić hałasu na ulicy, tobym przecie sam potrafił, nie ciebie wołał. Złodzieja ja już mam, ty jeno sprowadź twego pana.

Jagulka nie czekała już drugiego rozkazu: otworzyła drzwi i pobiegła do domu kramarza, jak oparzona.

Rzeźnik zaś usiadł w krześle i spokojnie zapaliwszy swoję fajeczkę, rozkoszował się wonnym dymkiem.

Teraz odezwał się złodziej, widocznie zmienionym głosem, i w najczulszych słowach błagał i zaklinał rzeźnika, aby go puścił, ofiarując oddać ukradzione pieniądze i dodać jeszcze dziesięć talarów, które miał przy sobie.

— To rzecz piekarza! — mruknął rzeźnik. — A czy ja wiem, ileś ty ukradł?

— Na sumienie, że wszystko oddam i jeszcze swoje dołożę — jęczał złodziej.

— Jeno mi nie baj o sumieniu! — hnknął rzeźnik. — To piekarza rzecz!

Złodziej coraz goręcej prosił, błagał, jęczał i z płaczem zaklinał nielitościwego rzeźnika, aby go puścił, ale ten powtarzał wciąż swoje:

— To rzecz piekarza! Co mnie do ciebie, złodzieju!

Zrozpaczony rabuś chciał się na kolana rzucić przed swym dręczycielem, ale Neron zaraz ku złodziejowi skoczył, ledwo się ten ruszył. Nie było rady z zatwardziałym rzeźnikiem, trzeba było czekać, na przyjście piekarza od pana kumotra.

Tymczasem Jagulka wpadła jak bomba do kramarza i zakrzykła wielkim głosem:

— Panie! Do domu! do domu! Bo tam pan rzeźnik złodziei połapał i trzyma!

— A do krocset bułek! Gdzie?! Jakich złodziei?! — wrzasnął przestraszony piekarz.

— W domu, złodziei połapał i trzyma! — powtórzyła, łapiąc powietrze w otwarte usta Jagulka.

— W domu? To dalej, matka! Prędko! prędko! Bieżmy co ducha! — przynaglał żonę, szukającą chustki.

— A poradzimy aby sami? — zawołała przezorna pani majstrowa, łapiąc i rzucając po kolei wszystkie okrywki, jakie jej w ręce wpadły. — Czeladnik odjechał... uczniowi pozwoliłeś iść do ciotki...

— Co zaś mamy nie poradzić?! — przerwał niecierpliwie piekarz. — Jeno dalej! dalej żwawo! — wołał coraz głośniej, zapalając latarkę.

Lecz wtem z zebranych gości zaczęły odzywać się głosy.

— Pani majstrowa słusznie mówi! Kto wie, jak wielkie bandy rabusi was napadły? Mogą mieć nawet noże i pistolety... Ale się nie trwożcie! My z wami idziemy wszyscy! Jakośmy wasi sąsiedzi i przyjaciele!

— A i owszem! Jeno dalej! Proszę! proszę! Komu wola i ochota, to za mną. — wykrzyknął piekarz i ruszył co tchu w piersiach do domu.

Za nim zaś wysypali się wszyscy goście od kramarza. Uczyniła się mała armia, na czele której, z latarnią w ręku, maszerował piekarz, rozświecając ciemności nocne i głębokie błoto ulicy.

Dobiegłszy do domu, otworzył drzwi i groźnie wkroczył do pokoju. Za pie-

karzem sypali się przyjaciele i sąsiedzi, cisnąc się, popychając i tłocząc jeden przez drugiego, podczas gdy on, podniósł w górę latarkę i spytał ostro:

Piekarz posunął się zamaszyście i poświecił latarką.

— A do kroćset bochenków! — krzyknął zdumiony, cofając się o dwa



PIESZCZOSZEK MATECZKI.

— Gdzie złodzieje?

— Ady jeno jeden — odpowiedział spokojnie rzeźnik. — Tam oto stoi w kącie pod strażą Nerona.

kroki. — A toć to pan kumotr.

Szum straszny zerwał się w pokoju, bo istotnie był to ów »chory na oczy i głowę« kramarz. Teraz już zupełnie

zdrów naturalnie, oka też nie miał zawiązanego, ale obydwa zdrowe i bystre podniósł na zebraną w pokoju gromadę swoich gości ze chrzcin, którzy mu się w osłupieniu przyglądali, niby jakiemu dziwotworowi.

On zaś siląc się na śmiech, który mu się przecież ciągle urywał w gardle, jął prawić, że to miał być dowcipny żart i figiel kumoterski, wypłatany dla ubawienia kochanego pana kumotra.

Lecz wybite okno, otwarte wytrychem biórko, pieniądze wybrane do czysta i schowane do kieszeni, za poważnie wyglądały na figle, choćby i kumoterskie. Przy tem w interesach pieniężnych nie znał się piekarz na żartach i figli nie lubił. Więc tedy z pod straży Nerona oddano figlarnego kumotra pod opiekę żandarma, który go tymczasem zaprowadził na ratusz.

Skoro w pokoju został już tylko rzeźnik i piekarz z żoną, zawołał ten ostatni z uśmiechem:

— No, matko! zepsuła nam się zabawa i panu kumotrowi nie dotrzymałem słowa... ależ nie moja wina, żem musiał być niesłowny... Do północy jeszcze daleko, zabawimy się teraz z naszym gościem! Przynieś jeno ze sklepu butelczynę; wiesz, z tych ze samego kąta.

Przy butelce starego miodu, który sycił jeszcze dziaduś piekarza, bo pochodził on z zamożnej i zasiedziałej w miasteczku rodziny, opowiedział rzeźnik, w jaki sposób złapał złodzieja. Piekarz trącał w kieliszki gościa i żony, uśmiechał się i głową kiwał z zadowoleniem. A gdy przyszło do ugody z rzeźnikiem, gospodarz, z wdzięczności za tak wielką przysługę, odstąpił mu swoje śliczne tuczniki bardzo tanio i przydał jeszcze wieprzaka na kiełbasy.

Kończąc swoje opowiadanie o złodzieju, zauważył rzeźnik:

— Tak to, tak, widzicie, państwo kochani, dzieje się na tym świecie! Takie złodziejskie chwasty wszędzie rosną. A i tu... nie ma co! śliczny z tego kramarza pan kumotr!

— Ano, tak, śliczny! — przywtórzył piekarz, ale po chwili namysłu dodał:

— Hm! On tam jeszcze, jak on! Ale co już ten figiel kumoterski, który mi chciał wypłatać, to wam się przyznam, że mi się do cna nie podoba! Nie!

Sta.

PIENIĄDZE W POLSCE.

Jeszcze za czasów pogaństwa przychodziło do Polski drogami handlowemi dużo pieniędzy starych rzymskich, azyatyckich (kufickich), saskich i innych, które znajdowane są dziś nieraz w ziemi w znacznych ilościach, bo po kilka tysięcy sztuk Pierwsze pieniądze polskie zaczął bić ze srebra Mieczysław I, po przyjęciu z narodem wiary chrześciańskiej. Były to denary, od których rozpoczyna się w dziejach mennicy polskiej okres denarowy. Podobne denary bił Bolesław Chrobry. Późniejsze, zapewne z czasów wojen Bolesława Śmiałego, są monety noszące wizerunek trzech wież z kopułami bizantyjskiemi, które zarówno jak denar Chrobrego z ruskim napisem są. Denary ciężkie Chrobrego okazują widocznie bogactwo jego skarbu. Po jego śmierci, w uszczuplonych granicach mniej było srebra, więc żona Mieszka II Ryksa (Regina) oraz Kazimierz I, wybijali tylko małą monetę mieszkowatą na wzór fenygów, jakie przychodziły do Polski od Wendów czyli Słowian nadelbiańskich. Denary stają się coraz mniejszymi, tak że w końcu szło ich 510 na funt.

Między mincarzami którzy robili stemple i bili monetę, musieli być Czesi i Żydzi, bo pieniądze ówczesne bardzo podobne do czeskich i niektóre noszą

imiona książąt wypisane literami hebrajskiemi, np. Mieszka III. W wieku 12 w Niemczech poczyna się wybijanie denarów cienkich czyli brakteatów, które najpierw naśladuje w Polsce około roku 1170 Bolesław Kędzierzawy. Były to blaszki z jednej tylko strony wytłaczane z powodu cienkości, i tak lekkie, że lud przezwał je plewami. Wypuszczał ich dużo Mieszko Stary, a potem urzędnicy jego przy poborze podatków domagali się dopłat do tej monety. Kronikarze polscy zapisali, że powszechne skargi i żale na złą monetę i nadużycia wypowiedziała niewiasta w szaty żałobne przybrana i do izby sądowej wprowadzona przez biskupa Gedkę, który w niej upostaciował całą ziemię krakowską. Chciwego Mieszka wypędzono, ale brakteaty mnożyły się przez cały wiek 13.

Wobec różnolitości monet po całym świecie i w Polsce krążących, kupcy na jarmarkach przy liczeniu większych sum, płacili sztabami albo sypali pieniądze na wagę, przyczem używano jako zwykłego ciężarka czyli gwichtu, półfuntowej marki, która ukazuje się od 11 wieku najprzód w Niemczech, a później w większych miastach polskich, jak w Wrocławiu i Krakowie. Dotąd nie było jeszcze tyle monety w kraju, aby wystarczała na potrzeby ogólnego obiegu. Był więc zastósowany na szeroką skalę, lubo niewygodny dla kupców a szkodliwy dla kupujących, handel zamienny, przy którym niezbędne ułatwienie stanowiły skórki futrzane wiewiórek i kun, powiązane w grzywny po sztuk podobno 40—60.

Nazwę grzywny jedni wyprowadzają od niemieckiego wyrazu Griff, domyślając się takiej ilości skórek, jaka się dłonią da ująć (greifen), inni wywodzą od wyrazu słowiańskiego grzywa, przypuszczając, że z grzywny kun można było uszyć kołnierz lub inne podobne do grzywy okrycie na plecy. Mylą się jedni i drudzy, bo nazwa pochodzi od tego, że skórki, aby były łatwo przeliczone i obejrzane, nie mogły być powiązane w snopek ani pęk, bukiet, ale na sznurek kolejno nanizane, co dawało im zupełnie pozór i wielkość grzywy końskiej. Obok takich grzywien dopomagano sobie kruszami soli. Dopiero gdy już srebra pokazało się dosyć, zamieniono grzywny kunie i wiewiórcze na marki srebra, licząc zrazu po 3, a później po 5 grzywien skórzanych na jedną srebrną. Tym sposobem przy wymiarze kar sądowych, najpospolitsza t. z. »siedemnadziesta« (mamy o niej już wzmianki od roku 1242) stanowiła 70 grzywien skórkowych, opłacanych już w 13 wieku 14-tu markami srebrnemi, czyli 7-miu funtami srebra. Odtąd wyrazy marka i grzywna znaczyły to samo, pod grzywną bowiem rozumiano markę czyli pół funta srebra, zapominając o grzywnie futrzanej, która wychodziła z użycia.

Razem z odrodzeniem się władzy królewskiej następuje w wieku 14-tym wielka reforma menniczna, która daje Polsce nowe pieniądze, wybijane podług trzech systematów: groszowego, kwartnikowego i dukatowego. Grosze t. z. szerokie czyli grube denary rozkazał bić w Pradze roku 1300 król czesko-polski Wacław, po kopie czyli sztuk 60 z grzywny t. j. marki półfuntowej czystego srebra. Grosze te pospolicie liczono na kopy. Pierwszą monetą złotą w Polsce jest dukat z rozkazu Władysława Łokietka bity. Kazimierz Wielki wybijał od roku 1337 do 1346 grosze krakowskie po 48 z grzywny srebra, lecz zaniechał zaraz po śmierci Jana Luksemburczyka, który jako pretendent do korony polskiej, wybijał swoją monetę bezczelnie z tytułem króla polskiego. Stosunek grzywny polskiej ważącej około 200 gramów i odpowiadającej 48 szerokim groszom krakowskim Kazimierza, utrwalił się na wieki w pojęciach narodu i w praktyce sądowej przetrwał do ostatnich lat. Ponieważ w Wielkopolsce krążyły pieniądze systematu prusko-krzyżackiego z podziałem grzywny czyli marki pruskiej na 4 wiardunki, 2 skojce i 96 kwartników, przeto Kazimierz Wielki jednocząc dwie główne części państwa t. j. Wielko- i Małopolskę na

drodze prawodawczej i ekonomicznej, uwzględnił też stósunki pieniężne i pogodził z sobą oba te systematy, bijąc obok groszów krakowskich, kwartniki. Objąwszy Ruś Halicką w posiadanie, Kazimierz Wielki, aby dogodzić jej potrzebom ekonomicznym, bił dla niej denary z miedzi, która nigdy jeszcze w mennicach Zachodu na monetę używaną nie była, ale ułatwiała handel z Grecyą, gdzie srebro wyszło z użycia a pozostała miedź i złoto. Kazimierz jako mądry prawodawca i ekonomista, wypuszczając mennicę swoją w dzierżawę, wydał ustawę, która obowiązywała zarówno mincarza, jak książąt i biskupów mających prawo bicia monety. Czytamy w niej: »Jak jeden jest monarcha i jedno prawo, tak powinna być jedna moneta wieczysta i dobra pod względem wartości.«

Wszystkie monety uregulował Kazimierz do grzywny krakowskiej czyli polskiej, która równą była 48 groszom, 96 półgroszkom, 192 kwartnikom i 864 denarom. Dukat węgierski (polskich bowiem wybito za Łokietka nadzwyczaj mało dla braku krajowego złota) szedł po kursie 14—16 groszy srebrnych. Na skojec liczono 2 grosze a 4 kwartniki, grosz szeroki równał się 18-tu denarom srebrnym, 12 groszy srebrnych czyli 6 skojców tworzyło na wagę ćwierć grzywny czyli wiardunek (vierdung, ferton). Grosze bito podług próby 13-tej, to jest do 13-tu części czystego srebra dodając 3 innego metalu. Podług tego systematu płacono w końcu 14-go wieku w Krakowie: za wołu pół grzywny czyli 24 grosze, za korzec żyta 5 groszy, pszenicy 7 groszy, za parę kurcząt 1 grosz, za 100 kloców drzewa $1\frac{1}{2}$ grzywny, za parę trzewików dwa grosze, za parę butów prostych 4 i 6 groszy a pańskich 12 groszy, za łokieć sukna krajowego od 2—4 groszy, a brukselskiego groszy 20. Kazimierz W. przy kopalniach wielickich wyznaczył pensyi rocznej pierwszemu wice-żupnikowi 26 grzywien czyli 13 funtów, sztygarowi 84 grosze, łucznikowi i kucharzowi po 1 grzywnie, kuchcie, palaczowi, odźwiernemu, pomywaczowi po 24 grosze; nadto każdy ze służby dostawał odzież zimową i letnią, oraz co miesiąc nowe obuwie (co przypomina zwyczaj zachowywany dotąd u ludu na Mazowszu i Podlasiu, gdzie gospodarz daje swemu parobkowi ubranie zimowe, letnie i buty.)

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

* **Jabłko królewskie,** kula złocista z krzyżem na wierzchu, starodawne godło władzy królewskiej i cesarskiej. Już Rzymianie w ten sposób panowanie swoje nad światem oznaczali, oczywiście bez krzyża. Kronikarz polski Gwagnin pisze: »Naostatek przy koronacyi, arcybiskup królowi jabłko złote, okrągłość świata wyrażające, w lewą, a w prawą rękę berło daje«. Skarbiec koronny na Wawelu, w którym przechowywały się insygnia i klejnoty królów polskich, dopełniony w r. 1730, opisuje szczegółowo 5 jabłek królewskich, z których 3 były szczerozłote a 2 srebrne pozłacane. Jedno tak było opisane: »Jabłko szczerozłote, na niem sfera świata rysowana, z pereł czterech na sztyftach złotych, dwa rubinki po środku z tego krzyżyk, na wierzchu złożony«.

FRASZKI.

* **Mój Janklu,** chciałem z tobą pomówić o zbożu.
— Oj, oj, wielmożny panie, one tak spadniuło, na łeb na szyję.
— To też dobrze, bo ja chcę kupić parę set centnarów.
— O, waj, uno dziś tak podskiknęło, że niech Bóg broni.

* **Dla czego** żydzi brody noszą.
— Goląc wszystkich i wszystko, nie mają czasu zajmować się własnym zarostem.

* **Lekarz:** Proszę pani, już absolutnie jej pomódz nie mogę.
Dama (wystraszona): Dla czego, panie doktorze?
Lekarz: Boś pani zdrową.

* **Kto ma** pieniądze — Żyd.
Kogo potrzebujesz — Żyda.
Komu winieneś — Żydowi.
Kogo kochasz (jak psy dziada) — Żyda.
Kto da pieniędzy — Ty, oh, żydzie.
Kim się posługujesz — Żydem.
W kim pokładasz nadzieję — w Żydzie.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

wajcie mi gosposiu ten mieszek pod kluczem, bo mam w nim wielkie skarby.«

Pomiarkowała od razu gosposia, że nie bez kozery kazano jej schować te stare mieszyszko. Nie trudno jej także było odkryć tajemnicze słowa, bo się już wprawiła na stoliku i baranku; ale tą razą pożałowała swojej mądrości. Skoro bowiem wyrzekła: mieszku, mieszku mój, odwiąż się; — wypadły z miecha dwa kije, i biły babę nielitościwie: z bólu i strachu zapomniała rozkazać, aby się napowrót schowały; więc biją owe kije mądrą lecz złą kobietę; a mądra lecz zła kobieta, całem gardłem woła ratunku. Na ten krzyk obudził się Gawron i wbiegł do komory. Już od dwóch lat nie wolno było nikomu do niej zazierać, bo tam było schowanie stolika i baranka. Poznał Gawron rzeczy braci swoich od razu i dorozumiał się podstępu. Zawołał tedy:

Niech kij każdy babę siecze,
Póki krew z niej nie pociecze!

Gosposia w modły: »Mój chłopysiu zmiłuj się! oddam wszystko, powiem wszystko, tylko się zmiłuj nademną! Więc Gawron rzek: »kije w miech!« Potem odebrał skradzione rzeczy swych braci, bo gospodyni z bólu przyznała się do wszystkiego.

Już też świtać zaczęło; Gawron zabrał się w dalszą drogę i przyszedł do domu swego koło południa, kiedy wszyscy za stołem siedzieli.

Dwaj bracia widząc stolik i baranka, zeskoczyli z ław, i każdy chwycił za swoje; w tem kije z miecha wypadły. Struchleli wszyscy a Gawron dopiero zaczął rozpowiadać, jak się to stało i tak zakończył: »Nie do was bracia, należy stolik i baranek, ale do mnie. Mogę niemi rozrządzać do woli i tak rozrządzam, aby nam wszystkim jednako służyły, co moje, to wasze; co wasze to moje. Czy przystajecie na to, tatusiu?« — »Przystajemy, przystajemy!« zawołali wszyscy; i odtąd poczyna się ich szczęście.

Baranka wziął stary ojciec do swojej zarodowej owczarni i dochował się z niego pięknej gromady; miech powieszono w stodole, a kije wymłacają wszelkie zboże. Stolik zaś ustawiony w dużej izbie, a za stolikiem siedzą goście dniem i nocą, i dobrze się mają, bo nigdy na wybornych potrawach nie zbywa i nigdy podniebienie im nie schnie. Mnie także jeszcze nie uschło, bo dopiero co z tej biesiady wróciłem!

Koszta wojen.

Dzienniki podają rzecz na czasie: statystykę strat i kosztów, jakie pociągnęły za sobą w ludziach i pieniądzach wojny w drugiej połowie bieżącego stulecia.

	ludzi	franków
Wojna krymska	750,000	7,000,000,000
« włoska	45,000	1,500,000,000
« Danii	5,000	170,000,000
« amerykańska (secesyjna)	800,000	12,000,000,000
Wojna austr.-pruska	45,000	1,500,000,000
Wojna w Meksyku, Kochinchiny	65,000	1,200,000,000
Wojna francusko-pruska	220,000	15,000,000,000
Wojna bułgarsko-serbsko-turecka	200,000	2,000,000,000
Wojna połud. afrykańska i afganist.	100,000	50,000,000.
Razem	2,230,000 ludzi	40,420,000,000

Zabicie jednego żołnierza kosztuje więc około 18,000 franków.

Ogólny zaś koszt wszystkich wojen wyniósł: więcej niż 2 miliony ludzi, nie rachując tych, co pomarli później z ran, otrzymanych na wojnach, więcej niż 400 miliardów franków, — nie licząc ruin mienia osób prywatnych.

Przysłowia Chińczyków.

Pomyśl trzy razy, zanim co zrobisz, a nie będziesz żałował swych czynów.

W czasie pogody noś deszczochron.

Kop studnię, zanim mieć będziesz pragnienie.

Dzień jeden wart trzy, dla tego, kto każdą rzecz robi w swoim czasie.

Najpiękniejsze jutro nie wróci dnia poprzedniego.

Najprędzej wtedy błądzimy, gdy nam się zdaje, że znamy drogę, a sprawy nasze tem łatwiej upadają, im mniej widzimy w nich trudności.

Głupiec najwięcej wtedy się uwielbia, gdy zrobi głupstwo.

Ten jest największym kłamcą, kto najwięcej mówi o sobie.

Grzeczność jedna przyjaciół, szczerość zniechęca.

Praktyczne rady.

— **O wyrabianiu kiełbas.** Przystępując do roboty kiełbas, należy zabrać trzy osoby, a rozdzieliwszy między nie, przeznaczone na kiełbasy mięso, kazać jednej krajać je na cienkie plastry, drugiej na paski wąskie, a trzeciej na kostki. Tym sposobem robione kiełbasy będą równe i wyborne. Dodając następnie soli, pieprzu, angielskiego ziela, a zamiast zwykle używanej wody, smaku tłustego z gotującego się na salcesony mięsa i innych odpadków wieprzowych, otrzyma się wyborne kiełbasy, które czy na świeżo gotowane, wędzone lub suszone będą doskonałe. Na kiełbasy używa się mięsa przednich łopatek wieprza, z karku, schabu i wszelkie kawałki nie zużywane do wędzenia; szynki, polędwic, głowizny, lub też boczku, który od młodych wieprzy wędzi się razem ze skórą, szkoda jest używać. Wieprzowiny $1\frac{1}{2}$ klgr. a $\frac{1}{2}$ klgr. słoniny lub bardzo tłustej przerastałej wieprzowiny pokrajać w drobne kostki. Na 4 do 5 klgr. mięsa wsypać 15 dkgr. soli, 17 gram. majeranku przesianego, $3\frac{1}{2}$ dkgr. pieprzu i wlać dobre $\frac{1}{2}$ litra smaku wygotowanego z kości wieprzowych. Zamiast tego smaku można użyć wody, chociaż z buljonem smaczniejsze, z wodą trwalsze. Massę miesza się doskonale rękami, gdyby nie była dość pulchna, można dolać $\frac{1}{4}$ litra wody. Wtedy napycha się nią oczyszczone wymoczone i wydęte kiełbaśnice przez formę blaszaną, nie upychając zbytecznie, aby w gotowaniu nie pękały. Gdzie tylko w kiełbasie pokaże się zaskórne zebranie powietrza, przekłuć szpilką a nawet w każdym razie gdzie niegdzie całą kiełbasę ponakłuwać.

Tak zrobione kiełbasy wrzucić na kwadrans do zimnej wody a potem na drążkach powiesić w chłodnej spiżarni. Robić nie dłuższe nad $\frac{3}{4}$ — 1 metra, bo najlepiej brać całe do gotowania. Można je także zawiesić nad kominem w kuchni, aby dobrze obeschły, a w takim razie dłużej się konserwują.

— **Sposób rysowania wypukło na skorupie jaja.** Wybrawszy jajo z grubą skorupą, obmywa się je dobrze, obciera, suszy i na temże pisze lub rysuje piórem nowem, używając sadła topionego zamiast atramentu, następnie trzymając jajo w dwóch palcach, zanurza takowe w szklance napełnionej octem bezbarwnym, lub w wodzie z kwasem solnym zmięszanej; po trzech godzinach wyjmuje i obmywa wodą świeżą. W tem doświadczeniu kwas rozpuszcza węglan wapna, z którego się składa skorupa jaja, a nie działając na części pokryte tłustością, tem samem wydaje je wypukłemi.

Rozmaitości.

* **Bankrot.** Słowo bankrot, pochodzi jak bardzo wiele słów kupieckich, z włoskiego i to od słów »banco rotto« (złamana ławka), bo już we Włoszech przed setkiemi lat kupcom trudniącym się wymianą pieniędzy, którzy swych obowiązków nie wypełniali, na znak hańby i utraty praw, łamano ławkę i stół, gdzie zwykle w domu wekslowym zasiadali.

W kryminalnem znaczeniu rozumie się pod nazwą bankructwa, niemożebność wypłacenie długów, do których ktoś jest zobowiązany i takie zadłużenie się jest karygodne.

Kupiectwo całe zawisło od rzetelnego postępowania kupców i tylko pod tym warunkiem może kupiectwo istnieć. Dla tego muszą być karani tacy kupcy, którzy przez lekomyślne, lub nierzetelne postępowanie nie wypłacają długów i przez to innych do upadku przywodzą.

Od dawna karano bankructwo bardzo ostro. U Rzymian było wolno dłużnika prawie posiekać w kawały. Później stawał się dłużnik własnością wierzyciela a jeszcze później naznaczano dłużnika rozmaicie według zwyczaju miejscowego. I tak bankrut bywał skazany na noszenie psa lub kamienia, albo musiał siedzieć na kamieniu przeznaczonym dla zbrodniarzy. W niektórych okolicach północnych Niemiec wystawiono dłużnika z wywróconemi kieszeniami na widok publiczny, albo oprowadzano po ulicach. Przed nimi i za nimi niesiono próżne worki, albo też dzwoniono w dzwonek nad niemi a oni pod pręgierzem stać musieli. Rozporządzenia policyjne z roku 1548 i 1577 nakazywały uważać rozmyślne bankructwo za równe złodziejstwu, żadnego bankruta nie dopuszczano do urzędu.

Przeglądając statystykę kryminalną ostatniego stulecia, zauważymy, że liczba wielkich zbrodni jako to: morderstwa, rabunki włamywanie się itp. zmniejszyła się, natomiast pomnożyły się występki, które świadczą o nierzetelności, nieuczciwości ludzi. Nie są one tak zbrodnicze jak tamte, lecz nie mniej przyczyniają się do nieszczęścia i ruiny wielu ludzi. Pomiędzy temi przewinieniami figuruje na czele lekkomyślne bankructwo, które sprawia więcej zniszczenia i biedy jak zbrodnie srodzej karane.

* **Środek leczniczy** przeciw rakowi wynalazł podobno pewien rosyjski lekarz w Briansku. Ma nim być roślina, zwana po łacinie »Chelidonium majus«, czyli po naszemu »jaskółcze ziele«. Byłoby dobrze dla cierpiącej ludzkości, gdyby się ta pogłoska potwierdziła. Trzeba jednak nie być zbyt łatwowiernym, gdyż już nieraz podobne nadzieje zawiodły.

ZAGADKA.

Środkowe litery składają imię jednego z królów Polskich.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Wiele drzew. 3. Taniec i naród nam pobratymczy. 4. Sławny i zacny mąż, od którego urosło przysłowie: „Polegaj na nim jakby na....“ 5. .... 6. Niewiasty uprowadzone przez Rzymian. 7. Jeden z metali. 8. Ptak z ciepłych krajów. 9. Spółgłoska.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 13:

1. Wspólna moc zdoła nas tylko ocalić.
2. 1882.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.